NIEDZIELA

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA LUDU POLSKIEGO W AMERYCE.

Nr. 31. DETROIT, MICH., 3-go KWIETNIA 1892 ROKU. ROK 1

Redaktor. Ks. Dr. Mieczysław Barabasz.

KALENDARZYK TYGODNIOWY.

3	Kwietn.	N.	Ryszarda Bisk.
4	,,	P.	Izydora Bisk.
5	,,	W	Wincentego Fer.
6	,,	Ś.	Wilhelma Wyz.
7	,,	C.	Donata i Rufina.
8	,,	P.	Dyonizego B.
9	,,	S.	Maryi Egipcyanki

Listy i przedpłatę

WYSYŁAĆ NALEŻY POD ADRESEM:

The Polish Weekly

„NIEDZIELA"

DETROIT, MICH.

POLISH SEMINARY,

Cor. St. Aubin and Garfield Ave's.

PRZEDPŁATA WYNOSI:

	Rocznie	Półr.	Kwart.
W Stanach Zjedn.	$ 2.00	$ 1.00	50 c.
W Austryi.	5 złr.	2.50złr.	1.25.
W Niemczech.	10 mk.	5 mk.	2.50.

Rękopisów drobniejszych Redakcya nie zwraca.

MATKI! OJCOWIE!

MÓWCIE Z DZIEĆMI PO POLSKU!!!

OD REDAKCYI

☞ Przedpłatę na „Niedzielę" i dokładne adresy wysyłać należy do Seminaryum Polskiego w Detroit, pisząc:

Office of „NIEDZIELA"
Polish Seminary.
DETROIT, MICH:

☞ Piszcie, o ile można, czytelnie. ☜

Łaskawego pośrednictwa w odebraniu przedpłaty na „Niedzielę" podjęli się następujący panowie:

W Detroit, Mich., Pan Władysław Maior, 781 St. Aubin Ave.
„ „ „ Jan Lemke, 823 St. Aubin Ave.
„ „ „ J. Piotrowski, 302 Canfield Ave. E.
„ „ „ Michał Pranga, 101 St. Joseph St.
„ „ „ Wojciech Siwa, 724 Riopelle St.
„ „ „ Emil Makowski, 790 Dubois St.
Milwaukee, Wis., „ M. Szarzynski, 414 Mitchell Ave.
E. Saginaw, Mich. „ Ignacy Poplewski.
„ „ „ „ Franc Mordec, Perkins St.
Lemont, Ill. „ Piotr Maday.
Elmira, N. Y. „ M. Budzikowski, 266 W. Hudson St.
Chicago, Ill. „ Adam Majewski, 664 Noble St.
Cleveland, Ohio, „ J. Małkowski, Woodland Cem. Office.
South Bend, Ind., „ Michał Duszyński, 1501 Fisher St.
Posen, Mich., „ Albert Klimaszewski.
Baltimore, Md., „ I. K. Zanto, 817 St. Ann St.
Buffalo, N. Y., „ A. Nowak, 1210 i 1212 Broadway St.
„ „ „ „ Antoni Chajewski, 39 Townsend St.
Williamsbridge, N.Y., „ Franciszek S. Jarmuż.
W Duluth, Minn. „ Ignacy Idziorek, 1 W. Superior St.
„ Bay City, Mich. „ Michał Wojciechowski, 19th & Farragut
Grand Rapids, „ „ W. Dzieniszewski, 123 Jefferson St.

☞ Ktoby życzył sobie w innych Stanach i Miastach podjąć się łaskawego pośrednictwa i bratniej usługi w tym względzie — niech raczy zgłosić się do Redakcyi listownie.

CZAS KOLEJOWY.

Wszystkie pociągi odchodzą według czasu kolejowego (standard time) t. j. 28 minut później niż czas Detroicki.

DETROIT, LANSING & NORTHERN KOLEJ ŻELAZNA. Stacya w Detroit przy końcu ul. Trzeciej.

Trzy eleganckie pociągi do Grand Rapids i nazad codziennie wyjąwszy niedzieli. Pięć pociągów Expresowych do Lansing iz powrotem codziennie wyjąwszy niedzieli. Wychodzą z Detroit rano o godz. 7.00—10.55. Po południu o g. 1.15; 4.50; 5.40—łącza się na Union Depot w Grand Rapids z Koleją CHICAGO & WEST MICHIGAN.

Pociągi z Grand Rapids odjeżdżają do Chicgago rano o g. 9.00 w południe o g. 12.05 i o g. 11.35 w nocy.—Czas podróży 5 godzin i 15 minut. Pociąg odchodzący z Grand Rapids o godz. 11.35 w nocy codziennie ma bez zmiany wagony sypialne, które przychodzą do Chicago o godz. 7.05 rano.

Pociąg wychodzący z Detroit o g. 1.15 po poł., przybywa do Grand Rapids o g. 5.15 wieczorem—zaraz się łączy z pociągiem C. & W. M. i przybywa do Manistee o g. 10.22 w nocy—do Traverce City o g. 10.59 w nocy—do Elk Rapids o g. 11,59 w nocy; do Holland przybywa o g. 6.25 po poł.; a do Muskegon o 7.35 wieczorem.

SAGINAW VALLEY & ST. LOUIS jest najkrótszą linią pomiędzy Grand Rapids i Saginaw. Pociągi odjeżdżają z Grand Rapids o g. 7.05 rano i o 4.15 po poł. Odchodzą z East Saginaw o g. 7.35 rano i o 5.55 po poł. Podróż trwa 4 g. i 15 m.

W. M. A GAVETT Agent Generalny w Detroit. Bióro biletów (Ticket Office) i towarowe znajduje się w gmachu zwanym Hammond Building—na dole numer 120 przy ul. Griswold—inne wejście jest także od ul. Fort. Telefon 368.

CHAS. M. HEALD, Gen. Mgr. w Grand Rapids.
GEO. DeHAVEN, Gen. Pass. Agent w Grand Rapids.

… NIEDZIELA …

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA LUDU POLSKIEGO W AMERYCE.

Nr. 31. DETROIT, MICH., 3-go KWIETNIA 1892 ROKU. ROK 1

Redaktor. Ks. Dr. Mieczysław Barabasz.



PAN JEZUS W OGRÓJCU.

NA POMOC!

Podając na str. 342 w numerze 29 ,,Niedzieli'' rzewny obrazek naszych Braci ,,Unitów'' — hen, tam za morzem nielitośnie i wciąż przez moskali męczonych, zanosiliśmy stąd imieniem tych nieszczęśliwych gorącą do Was prośbę o pomoc. Dziś powtarzamy ją raz trzeci — w nadziei, że nie napróżno prosić za nich będziemy.

Bracia! Tysiące biednych rodzin, porwanych z Polski na Sybir, jęczą tam nieustannie; jedni w ciemne wrzuceni podziemia, zamierają ze znoju i pracy — inni błąkają się po zimnej, jak moskal, pustyni — bez odzieży, bez chleba, bez nadziei nawet.... Czyż się nie ulituje serce Wasze nąd nimi nie udzieli pomocy?

Wejdźmy w ich położenie i postawmy się, choć na chwilę w ich miejscu.

Mężu, cobyś, powiedz, uczynił, gdyby Ci moskal porwał żonę na Sybir i rozłączył na zawsze? gdyby ta biedna żona Twoja umierała tam z głodu i zimna, a Ty wiedział o tem?....

Żono, cobyś uczyniła, powiedz, gdyby Ci tyran okuł męża w kajdany i zabrał go z domu, w daleką obczyznę, na męki? gdyby Cię samą tak zostawił z dziećmi?...

Matko, cobyś uczyniła, gdyby i Ciebie odłączył Moskal od kochanej dziatwy, albo zagnał na Sybir, byś patrzała z boleścią jak Ci kona z głodu?

W tych czasach, kiedy lud rosyjski mrze głodową śmiercią — nasi Bracia, zesłani na Sybir, cierpią najstraszniejszą nędzę. W Starym Kraju tworzą się liczne komitety, by nieść pomoc biedakom; to też sądzimy, że i Amerykańska Polonija, szczęśliwsza może od innej, nie odmówi swego grosza głodnym, ale spiesznie, ale chętnie, ujmie sobie cząstęczkę i obdarzy nią tych męczenników w Syberyi.

☞ Redakcya „Niedzieli" pośrednictwo swoje ofiaruje i otwiera listę składek, z których co tydzień kwitować w piśmie będzie. Dotąd złożyli: Z przeniesienia $ $49.50 Ks. Andrei $10.00; J. Nadolny $1.00; Leon Vendt 25 c.; Fr Krefta $1.00; Jan Lemke $2.00; Wikt. Lemke $1.00; Jan Detlaff $1.75c; Jadwiga Świątek $1.00; Aug. Piastowski $1.00; Alex. Lemke $1.00; Teofil Morawski 50 c.; Aug. Kreft $1.00. — Razem $71.00.

Z SIEWÓW NIEDZIELNYCH.

O zazdrości.

Skrzętnie zwija się rolnik na wiosnę, szuka jak najlepszego nasienia, aby, dobrze uprawioną rolę obsiawszy, mógł się w jesieni bogatem cieszyć żniwem. I ten pracowity gospodarz nieraz wielką ponosić musi szkodę od zazdrosnego nieprzyjaciela swego, który nieznacznie zasiewa kąkol między pszenicę, aby tym sposobem zniweczył oczekiwane żniwo. (Zasiał dobre nasienie na roli swojej, a gdy ludzie spali, przyszedł nieprzyjaciel jego i nasiał kąkolu między pszenicę.) Dzieje się to na każdem polu pracy, nawet i na niwie narodowo-religijnej, niestety!

Przywara ta, t. j. zazdrość, prześladuje nieraz najpoczciwsze serca, potępia dobre nawet uczynki, źle tłomaczy prawe i sprawiedliwe zamysły, szarpie honor i dobre imię, smuci się z cudzego szczęścia i dobrego powodzenia, a cieszy się z nieszczęścia bliźniego. Trudno się uchronić przed zazdrością ludzką; chociażby młody był skromnym i wstydliwym, stary wypełniał wiernie obowiązki swoje, małżonkowie żyli w zgodzie i jedności, chociażby duchowny żył odpowiednio ś. powołaniu swemu, nic to wszystko nie pomoże, zazdrość ich wszystkich się czepi. Występek ten panuje w każdym wieku, w każdym stanie, w każdej płci. On się wciska pomiędzy małżeństwa, pomiędzy rodziców i dzieci, znajdziesz go wszędzie, nawet i pod ubogą strzechą wieśniaka; on plami panowaniem swojem chrześcianina, pogardza zwierzchnością i każdą władzą; brat zapomina na rodzoną siostrę, siostra nie myśli o bracie, służący podaje jeden drugiego w podejrzenie: o bliźnim nie pamięta, byleby sobie dogodzić i siebie wywyższyć.

Ten, dawnym chrześcianom nieznany występek, zakorzenił się dzisiaj szeroko między nami. Rzadko kiedy wspomni się na to, że grzech ten nietylko bliźniemu, ale nawet i nam samym częstokroć szkodzi, bo przypatrzmy się złości zazdrosnego człowieka, a wnet przyznamy, że zazdrosny popełnia wielką niesprawiedliwość, że wielką wyrząd a krzywdę bliźniemu i siebie samego czyni nieszczęśliwym.

Przez zazdrość rozumie się nienawiść szczęścia cudzego, ubolewanie nad dobrem bliźniego powodzeniem, a ukontentowanie z cudzego nieszczęścia, albo złego powodzenia. Grzech ten jest niesprawiedliwością dla bliźniego, bo człowiek zazdrosny powstaje bez przyczyny na bliźniego swego i radby sobie tylko przywłaszczyć to, co właśnie szczęściem jest drugiego. Jeżeli jeszcze przypatrzymy się bliżej sposobom, środkom, jakich zazdrosny człowiek używa: natenczas jednogłośnie przyznać musimy, że zazdrość jest niesprawiedliwością dla bliźniego. Cokolwiek byś miał dobrego w sobie, cokolwiek pięknego na sobie, czy to dobre przymioty serca i rozumu, czy cnotę i świątobliwość życia, czy też majątek, urodę ciała, to wszystko nie ujdzie ludzkiej zazdrości.

Ale powiedzcie mi, jak sobie może człowiek zazdrosny rościć prawo do majątku cudzego, który się dostał komu przez pracę, przez spadek po rodzicach albo po krewnych? Jak sobie może zazdrosny rościć prawo do talentu albo do urody ciała bliźniego swego, kiedy te rzeczy Bóg podług swej woli rozdzielił pomiędzy ludzi? Jakież może mieć prawo do cudzego honoru, albo do wziętości, na którą sobie bliźni pilnością i rzetelnością i innymi przymiotami zasłużył? Wszak i zazdrosny mógłby sobie był na to tym sa

mym zasłużyć sposóbem, a dla czegóż się o to nie starał? Jeżeli kogoś na jaką godność wyniosą własne zasługi, już go zazdrostny nienawistnem ściga okiem, a czy sprawiedliwie?

Lecz dajmy na to, że i zazdrosny zasłużył sobie równie na to wszystko, czego drugiemu zazdrości, ale różne okoliczności to zrobiły, że ta godność, ta wziętość, ten majątek, na który on zasłużył, dostał się takiemu, co na to wszystko mniej zasłużył. I cóż z tego wyniknie? —I w takim razie zazdrosny nie ma prawa nienawistnem okiem na szczęśliwszego od siebie spoglądać bliźniego, bo czyż nie jest lepiej kontentować się chociaż małem, ale swojem własnem, aniżeli z zazdrości pragnąć tego, co jest cudzie i co odeń zazdrosnemu żadnem nie należy się prawem?

Pominąwszy i to nawet, pytam was dalej zazdrośni ludzie, co wam złego uczynił bliźni bogatszy, w gospodarstwie szczęśliwszy, od sąsiadów bliskich i dalekich więcej lubiony, niż wy, albo do urzędu jakiego wyniesiony, co wam złego uczynił, że mu tego wszystkiego życzyć nie chcecie, ale owszem—zazdrosnem na jego powodzenie spoglądacie okiem? Niewiasty zazdrosne! co wam złego uczyniły sąsiadki wasze piękniejsze, milsze, więcej oka na siebie mające, niż wy? cóż wam złego uczyniły, że im tego wszystkiego zazdrościcie? Zazdroszcząc im, nie wzdrygacie się na obmowy, pogardzacie niemi, wyśmiewacie się z nich przy lada jakiej okazyi. Jeżeli ta lub owa weźmie na siebie piękniejszą chustkę, przywdzieje bogatsze szaty, wnet podaje wam zazdrość różne domysły: skąd ta lub owa bierze tyle pieniędzy, że się tak stroić może? —

Człowiecze, co na bogatszego bliźniego zazdrosnem patrzysz okiem! powiedz nam, co on ci uczynił złego? czy to co ma, tobie wydarł? czy był z tobą w prawie i tam cię skrzywdził? a jeżeli tego wszystkiego nie uczynił, dla czegóż mu zazdrościsz majątku jego? A ten, co od gospodarza więcej lubiony niż ty —którernu więcej powierzają, niż tobie, cóż ci złego uczynił? Wszak ciebie nie wyparł z łaski, bo tylko godziwymi sposobami starał się o wzięcie u ludzi, a jeżeli tak jest, dla czegóż mu tego zazdrościsz? Nic nie odpowiadacie na to, wy zazdrośni?

Ja za was odpowiem: nie dla czego innego zazdrościcie bliźnim waszym, tylko dla tego, że się im lepiej niż wam powodzi — to jest cała przyczyna waszej zazdrości! Nic wam innego znienawidzony bliźni nie zrobił, w niczem się przeciwko wam nie przewinił, tylko w tem, że mu się lepiej powodzi, niż wam. Nie chcecie się tem zadowolnić, że Bóg jako dobry dla wszystkich Ojciec, udzielił i wam cząstkę darów swoich; na tem wam nie dosyć, wybyście chcieli sami wszystko posiadać, chcecie, aby Bóg skurczył rękę swoją dla wszystkich innych, aby ją tylko dla was samych otworzył; chcecie, aby ziemia nigdzie tak nie była urodzajną, jak u was, żeby Bóg na dzieciach, na majątku, na bydlętach nikomu tak nie błogosławił, jak wam, aby nikomu nie byli ludzie dobrzy, tylko wam, aby w nikim nic dobrego nie widziano, tylko w was i dzieciach waszych, albo krótko mówiąc: zazdrośni ludzie chcą tego, aby Bóg nie był Ojcem dla wszystkich, tylko dla nich samych, oni Bogu chcą przypisywać, co im, a co innym ludziom udzielać ma z darów swoich! Zazdrośniku! czy poznajesz teraz, jak wielką niesprawiedliwość popełniasz zazdrością swoją? Nie mając żadnego prawa do własności bliźniego, powstajesz na nią, ale nie dość na tem, że na własność bliźniego powstajesz, zważ no, jak niegodziwych używasz sposobów na dokonanie zazdrości twojej!

Czy już nie żyją dzisiaj owi Faryzeusze, o których nam tylokrotnie wspomina pismo św.? — Żyją, i liczba ich jest bardzo wielka, bo oprócz właściwych obłudników postępują także i zazdrośni tak samo, jak niegdyś postępowali Faryzeusze za życia Jezusa Chrystusa. I najświętsze Jego czyny, w których świadczył ludziom dobrodziejstwa i zlewał na nich łaski swoje i te czyny znajdowały naganę w oczach złośliwych faryzeuszów i te czyny Jezusa Chrystusa nie uszły zazdrosnej obmowy i złośliwej potwarzy. Tak samo robią w naszych czasach ludzie zazdrośni; jeżeli kto jest sprawiedliwym, wnet powiedzą zazdrośni ludzie, że to jest okrucieństwem; jeżeli jesteś litościwym i dajesz ubogiemu jałmużnę, wnet powiedzą zazdrośni, że na darmo wyrzucasz pieniądze, żeś marnotrawnym albo rozrzutnikiem; jeżeli chcesz żyć z każdym dobrze, zachować zgodę i jedność, chcesz pogodzić zwaśnionych i wtem upatrzy zazdrość coś złego: powiedzą, że pochlebiasz, że szukasz swojej tylko korzyści i t. d.; jeżeli się ujmiesz za niewinnie skrzywdzonym, powiedzą zazdrośni: „dał mu coś za to, boby się tak za darmo nie ujmował,“ jeżeli, pamiętając na siebie, jako człowiek uczciwy, nie chcesz zarówno z innymi siedzieć na weselu, na chrzcinach tak długo, aż się popiją, ale chcesz odejść do domu, wnet powie zazdrosny, żeś pyszny, że pogardzasz innymi i t. p. Najfałszywsze domysły, niesprawiedliwe wieści i bajki roznosi zazdrosny o bliźnim, aby go tylko poniżyć w oczach ludzkich, a tym sposobem zaspokoić zazdrość swoją. Jeżeli nieszczęście jakie nawiedzi znienawidzonego bliźniego, natenczas okazują zazdrośni politowanie, żałują go niby, ale w sercu cieszą się z jego nieszczęścia, którego może nawet sami byli przyczyną. Niech-no się kto zapyta zazdrosnego człowieka o radę—czy mu jej nie udzieli? Udzieli mu rady, ale takiej, aby go wprowadzić w sidła, a tak sprowadzić na niego hańbę i obrzydzić go w oczach innych. Widząc, że ktoś ma wzięcie i łaskę u drugich, trzeba na niego podwieść, oczernić go i łaski go pozbawić; przyszedł kto przez pilność i sprawiedliwe zabiegi do jakiego takiego majątku, wnet powie zazdrosny: „kto wie, na jakiej się to tam drodze nabyło, różnie tam o tem mówią, nie każdy sobie tam tak umie poradzić i t. d.“ te i tym podobne domysły puszcza zazdrosny pomiędzy ludzi, aby tym sposobem podać w podejrzenie znienawidzony a przecież sprawiedliwy dobytek bliźniego. Powiedz co chcesz na pochwałę tego, któremu tacy ludzie zazdroszczą; nic to wszystko nie pomoże, bo oni tysiączne znajdą wybiegi, którymi wszystkie pochwały w niwecz obrócą. Takimi to niegodziwymi sposobami starają się zazdrośni zaspokoić jad zazdrości swojej! Zazdrość jest zaciętym nieprzyjacielem tych wszystkich, którym się lepiej powodzi. Człowiek zazdrosny pisze dobre przymioty bliźniego kredą, aby je łatwo zmazać było można, błędy zaś i małe nawet uchybienia jego pisze czerwonym atramentem, aby każdemu tem bardziej w oczy wpadały.

Czy na tem koniec? czy tem, co się powiedziało, zaspokoją się już ludzie zazdrośni? O nie! nietylko czernią bliźniego w słowach, ale nawet na życie jego nastają.

Sławny dowódzca Belizar, wygrawszy wiele bitew, okrył się sławą po świecie, a od cesarza Justyniana obsypany był hojnie łaskami. Ale zazdrość ludzka nie mogła na to obojętnie patrzeć. Zazdrośni ludzie tyle dokazali, że mu oczy wyłupiono, a ów mąż

niedawno tak wielki, musiał żebrać jałmużny. Wyciągając rękę, wołał na przechodzących: ,,dajcie grosz biednemu Belizarowi, bo waleczność wyniosła go wprawdzie wysoko, ale zazdrość wzroku go pozbawiła.''

Józef Egipski zaprzedany był przez własnych braci w niewolę, bo mu zazdrościli przywiązania ojcowskiego.

Nie lwy pożarły niewinnego Abla, ale zdradliwa zazdrość brata jego Kaina.

Zazdrościli Żydzi Jezusowi jego świątobliwości i cudów i dlatego nalegali na śmierć jego.

Ztąd poznajecie drodzy Czytelnicy, że dla zazdrosnego nic nie ma świętego, na co by się nie targnął, nie ma niegodziwości i nieprawości, którejby się nie chwycili, aby tylko poniżyć i zgubić tego, komu czegoś zazdrości.—Powstaje on na własność cudzą, do której żadnego mieć nie może prawa i wszelkich niegodziwych chwyta się środków. Takim występkiem czy się brzydzić nie będziemy?

NA WĘZEŁ OJCZYSTY.

Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI.

przez Kryst.

(Ciąg dalszy.)

Węgrzy sprzeciwiali się z początku temu żądaniu, aby nie ściągnąć na siebie zażartości moskiewskiej. Po długich dopiero zachodach Wysockiego, i to wtenczas, kiedy moskiewskie wojska ściągały się do Węgier, udało się mu uzyskać pozwolenie sformowania legionu polskiego z wszystkich trzech broni. Mianowano zaraz Wysockiego generałem i dowódzcą, przeznaczając Miskolcz, jako miejsce organizacyi dla niego; dokąd i ja z towarzyszami przybyłem 20 maja 1849 r. i rozpocząłem moją wojskową służbę.

Raz pamiętam, przypadło na mnie zameldować się po służbie z raportem u naczelnego wodza generała Dembińskiego. Kiedy wypowiedziałem przy raporcie moje nazwisko, powtórzył go generał z namysłem: ,,Stanisław B...., czy nie syn Wincentego?"

— Tak jest, panie Generale, odpowiedziałem.

— Twój ojciec młodym będąc służył podemną, kiedy ja już byłem starszym oficerem. Wielkiej to był odwagi człowiek. W pierwszej bitwie zdobył sobie krzyż zasługi, a wkrótce został oficerem. Pod Berezyną wzięty do niewoli, a potem wysłany na Sybir. W którym roku umarł? bo z żalem dowiedziałem się później, że już nie żyje.

— W roku 1824 straciłem ojca, nie pamiętam go nawet.

— Tak młodo zszedł z tego świata, szkoda! byłby jeszcze długo mógł służyć Ojczyźnie z gorącością swych uczuć. I mogliśmy teraz jeszcze razem wojować. No! dobrze, że go chociaż syn zastępuje, to i synowi rad jestem. Bij się jak ojciec i bądź jak on kolegą dla swoich. Zrobił mi Twój ojciec w obozie wielką przysługę, którą mu zawsze pamiętam.

Gdym żegnał Generała, on mi podał rękę serdecznie.

Zaledwie potrafiliśmy się cokolwiek uformować, donieśli nam szpiegi, że Moskale w 60.000 wyruszyli od Dukli z Galicyi, przekroczywszy granicę węgierską, a nadto drugi korpus 18.000 wkroczył do Węgier i zajął miasto Lubomlę, przednie zaś straże ścierały się już z oddziałem majora Korzelińskiego.

Dostaliśmy rozkaz spiesznego wymarszu. Nieprzyjaciela atakował podpółkownik Lazar, stojącego pod Kluze, który się cofnął pod Sebes, przez co odkrywał boki innych oddziałów w Damiacie i Sobinowie. Adjutant Hoszowski dostał rozkaz pozostania przy Lazarze, aby nie dopuszczać podobnych usterek. Moskale parli nas z wszystkich stron, bo i od ziemi Spiskiej ciągnęła silna do nas kolumna. Lękając się, aby nas Moskwa nie odcięła od swoich, posuwaliśmy się ostrożnie, skupiając nasze siły.

Dnia 22 Czerwca konnica stanęła w Lemieszanach. Mieliśmy stoczyć walną bitwę, na co wszyscy czekali z wielką nadzieją i ochotą. Bo lubo utarczki były ustawiczne, ale nie zajrzeli sobie tak stanowczo w oczy, żeby siła siłę pokonała. A my jak zbawienia pragnęli tego śmiertelnego z Moskwą uścisku. Ominął on nas tym razem, bo siła zgromadzona moskiewska była tak przeważna, że gdyby nas rozbito, to Moskale mogliby potem bezpiecznie maszerować na Peszt, stolicę Węgier, gdyż po za nami nie byliby już znaleźli żadnego oporu.

Roztropność wodza nie pozwalała na takie wielkie ryzyko. Dostaliśmy rozkaz cofnięcia się, i, chociaż nocną porą, stanęliśmy w dobrej pozycyi pod Lemieszanami.

Nam młodym krew wrzała z niecierpliwości, czując blisko nieprzyjaciela, i udaliśmy się z prośbą do Generała, aby nas wysłał na zwiady. Na co on chętnie przystał i rad był nawet naszej gotowości. Wyszliśmy z plutonem ułanów, jednym szwadronem Boczkaj-Huzarów, wraz z dwoma kozłami rakietników. Lesen i Maliszewski dowodzili nami. Zalecono nam jednak na oślep nie lecieć, ale spędzić Kozaków zwolna i cofać się w razie dostrzeżenia przemagających sił nieprzyjacielskich. Pułkownik Bułharyn wziąwszy batalion piechoty i parę dział, przyłączył się do nas z własnej ochoty. Konia miałem dzielnego. Jak mu dałem ostrogę, puścił się jak strzała. Pierwszy dopadłem Moskala i położyłem go trupem. Byłbym ich tak gnał i tępił do ostatniego, bo czułem w tej chwili, że z nieprzyjacielem Polski walczę i zwalczyć go pragnę. Ale Kozacy odstrzeliwając się z janczarek, cofali się do swego obozu, którego zaczepiać nie było

nam bezpiecznie. Położywszy wiele trupem wracaliśmy. Chciał wprawdzie nieprzyjaciel nas atakować, aleśmy stawili silny opór, pod strzałami armatniemi cofnęliśmy się do obozu.

Po tej bitwie przy raporcie zostałem posunięty na podoficera.

Ponieśliśmy jednak znaczne straty, a zwłaszcza straciliśmy Lucyana Stobickiego, szefa sztabu i osobistego przyjaciela Generała Wysockiego.

Nocą zaczęliśmy się cofać ku Miskolczowi. Słabe siły nasze nie mogąc przyjąć bitwy z przeważnie licznym nieprzyjacielem, zmuszały nas do cofania się do Mezo, Kewosz i Kapolny, do Arak Sallasz.

Muszę tu nadmienić, że były wielkie nieporozumienia między dowódzcami i naczelnikami, gdy to Dembiński, to Meszarosz, byli naczelnymi dowódzcami węgierskiej armii. Kiedy znów Generał Bem, cuda waleczności na swoją rękę dokazywał w Siedmiogrodzie, który także nie był wolny od niesnasek z dowódzcami, a w które zapuszczać się nie myślę, bo piszę o tem tylko, czemu osobiście uczestniczyłem jako żołnierz, bez żadnych stronniczych zapatrywań, czy to emigracyjnych, czo też wojskowych.

Słyszałem jednak o listach, jakie pisywał Koszut do Wysockiego, które sprowadzały zazdrość współzawodników Generała.

Niezmiernie dotąd żałuję, że nie udałem się na Węgry zaraz, jak rozpoczęła się kampania, gdyż nie byłem uczestnikiem najświetniejszych działań, odniesionych chlubnych zwycięstw oddziałów polskich, gdzie się tylko ukazały, wobec nieprzyjaciół.

Przyszedłem, niestety! kiedy, naciskani przez przeważne siły, ustępować tylko musieliśmy broniąc się nieprzyjacielowi. Z nieopisanym żalem i rozkoszą słuchałem opowiadań kolegów o pierwszym zawiązku legionu, kiedy w rocznicę 1831 r. powstania po solennem nabożeństwie poświęcali polską chorągiew, której matką chrzestną była siostra Koszuta Pani Kodkaj.

Co tam za radość i życie objawiało się w tej gromadzie z 300 ludzi natenczas złożonej. Takiej chwili, nikt pewnie w życiu nie zapomni!

Lub znów pod Szolnokiem, kiedy nasz pułkownik Poniński, wówczas jeszcze będąc rotmistrzem, uderzył szwadronem ułanów w 120 koni na dwie dywizye jazdy austryackiej, rozbiwszy ją, zabrał 5 dział. Sława tej szarży tylko Ponińskiemu się należy — za nim poszli dopiero Huzary.

Drogo jednak tę bitwę okupiono, bo utracili wiele dzielnych ludzi, ale wskrzeszono sławę dawnej waleczności polskich ułanów.

Świetnia także miała być chwila, kiedy pod Godollo defilowało całe wojsko przed naczelnikiem Koszutem, który otoczony sztabem przed każdym batalionem i szwadronem lekko uchylał kapelusza— kiedy zaś nadszedł batalion Polski dywizyi Generała Wysockiego wraz z ułanami, zdjął całkiem kapelusz i z głową odkrytą, skłoniwszy się, stał przez cały czas tej defilady. Naczelnik rządu węgierskiego chciał okazać w ten sposób cześć dla waleczności Polaków, a wtenczas posiadał już Legion znaki honorowe na swoich chorągwiach.

Przed mojem przybyciem na Węgry, zebrali wiele wspomnień drogich sercu towarzysze moi, walcząc i zwyciężając z myślą o Polsce, którą zdawało się, z powodzeniem oręża węgierskiego, dane nam będzie odzyskać. Ale później nastąpiło straszne rozczarowanie i grzebać poczęliśmy już wspólnie najdroższe nadzieje nasze, kiedy naciskani, otaczani ciągle przeważnemi siłami, ustępować tylko musieliśmy, staczając jedynie potyczki odporne, ale już prawie bez nadziei zwycięztwa.

Stanęliśmy 1 lipca w Cegledzie, gdzie zastaliśmy generała Percela, który tam nowy korpus organizował. Stamtąd wymaszerowaliśmy do Tzlegy-Hara, gdzie wypadło oczekiwać dalszych rozkazów od Generała Vettego. Że zaś nieprzyjaciel zagrażał nam okrążając coraz więcej, Generał Wysocki pojechał koleją do Pesztu dla porozumienia się z Generałem Dembińskim, który kazał nam się połączyć z Vettym, aby pobić Jellaczyca, bo to było wówczas jedynem zadaniem.

Po różnych marszach i kontramarszach, biliśmy się 20 lipca pod Turo.

Chmura Moskali, jak szarańca olbrzymia, snuła się wązką z góry drogą i rozsypała na płaszczyznę obok małego lasku.

Bitwa była bardzo zacięta. Zapędziłem się był trochę w bok, za jakimś wyższej rangi moskalem — i już prawie silnem cięciem zrzucałem go z konia, kiedy inni przyskoczywszy, ubili konia podemną, a mnie leżącego na ziemi jęli rąbać pałaszami, a obrawszy kieszenie poszli dalej.

Z wielkiem wysileniem dopełzłem w las pod krzaki. Widziałem jeszcze z początku, jak za mgłą, bijących się naszych z Moskalami. Szczęk broni dolatywał mnie coraz słabiej, aż w końcu nic nie widziałem, nic nie czułem, zdawało mi się, że kończę życie.

Nie wiem jak długo pozostawałem w takim stanie, aż odetchnąwszy raz silnie, poczułem łakieś ciepło koło siebie—woń rezedy i fiołków i tętna życia, gdyby lekkiego powiewu na mojej twarzy.

Otworzywszy oczy, zobaczyłem parę czarnych źrenic pełnych współczucia i litości, ku mnie nachylonej osoby, która coś mi na głowę przykładała.

Zamknąłem oczy w obawie, aby się to urocze zjawisko nie rozwiało, nie wiedząc dobrze, czy żyję, bo zupełnej o sobie świadomości nie miałem.

Po chwili jednak rozwarłem oczy zupełnie i wtedy ujrzałem, zamiast cudnych czarnych oczu, sumiaste siwe wąsy. Domyśliłem się, że to był doktor, gdyż brał mnie za puls, mrucząc sobie z cicha.

— No, już dobrze, nic mu nie będzie, przetrwało przesilenie.

— Gdzie jestem Panie? skąd się tu wziąłem, zapytałem mego eskulapa.

— Jesteś w domu przyjacielskim, bądź spokojny, starania masz koło siebie, jakby około własnego syna.

— Oddział mój... co się z nim stało? czy bitwa wygrana?

— Jakiej Pan jesteś narodowości, bo przy Tobie litery nie znaleziono. Ktoś Cię, widać, dobrze oporządził.

— Jestem Polakiem z oddziału Generała Wysockiego, a naturalnie Moskal mnie obdarł.

Na te słowa jakaś Pani poważna, której przedtem w pokoju nie widziałem, przybliżywszy się do mnie odezwała się serdecznie:

— Jakżem szczęśliwa, że udało mi się z pola bitwy zabrać rannego Polaka. Tyle mam sympatyi dla tego dzielnego narodu, który nam teraz niesie prawdziwie braterską pomoc.

— Ileż wdzięczności winienem Pani!

— No, no, na później komplementa, chory za wiele już mówił, słabnąć zaczyna. Jeżeli chcesz prędko dostać się do oddziału, który się już znacznie posunął, trzeba zachować się spokojnie. Rany nie są cięż-



LATO.



POŻEGNANIE ZIMY.

kie, gorsze było zapalenie mózgu. Dzięki Bogu i to minęło szczęśliwie. Teraz tylko cierpliwości, a wrócisz niebawem do obozu ubić nam wiele jeszcze Moskali.

Kazał mi się napić bulionu, po którym zaraz zasnąłem.

W śnie widziałem znowu czarne oczy, jak mi lód kładły na głowę. Ale jakaś nieprzeparta siła nie pozwoliła mi moich otworzyć.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

O ZŁOTYCH TŁACH.

O objawieniu się Najśw. Maryi Panny w Gierzwałdzie.

(Ciąg dalszy.)

Zaraz na początku objawień swoich w Gierzwałdzie zapowiedziała Najśw. Marya Panna uprzywilejowanym dziewczynkom, że ukazywać się będzie na ziemi naszej aż do swej uroczystości Narodzenia. Stąd sądzili niektórzy, że dnia 8-go września, w którym obchodzimy uroczystą pamiątkę Jej Narodzenia, objawi się Matka Boża po raz ostatni i że odtąd już nigdy więcej nie pokaże się na ziemi naszej. Inni zaś mniemali, że powyższe słowa Najśw. Panny rozumieć należy tylko o nieprzerwanym szeregu Jej cudownych objawień. Wedle tego lub owego rozumienia wspomnianych słów rozpisywano się szeroko po gazetach co do końca cudownych w Gierzwałdzie objawień. Bądź co bądź, pokazało się widocznie, że ci ostatni mieli słuszność: gdy bowiem nadszedł dzień 8 września Najśw. Panna wyraźnie zapowiedziała Wieczorkównej i Bylitewskiej, że i nazajutrz w niedzielę (dnia 9go wrzesnia) także się jak zwykle objawi. Chciała Matka Najśw. tą zapowiedzią pocieszyć parafian gierzwałdzkich i wszystkich katolików Warmii, że w dniu, w którym oni święcą uroczystą pamiątkę Jej Narodzenia nie pozbawi ich cudownego objawienia się swego. Jest zwyczaj dawny w całej Warmii, od Kościoła św. potwierdzony, iż tamże uroczystość Narodzenia Najśw. Panny obchodzą corocznie nie w dniu 8 wrześniu, ale dopiero w niedzielę najbliższą, przypadającą po tymże dniu.

Kiedy już mówimy o czasie, do którego Matka Najśw. miała się objawiać cudownie w Gierzwałdzie, dodać musimy i to, że Najśw. Panna jeszcze dalej posunęła w tym względzie łaskawość. Łatwo to poznać można z tego, co teraz przytoczymy. Ks. Weichsel, spełniając życzenie Matki Najśw., objawione dziewczynkom, zamówił dla Gierzwałdu figurę Niepokalanego Poczęcia w mieście Mnichowie, (Monachium, w królestwie bawarskiem) w sławnej fabryce Gypena. Gdy jednak figury tej w oznaczonym czasie doczekać się nie można było, a objawienia cudowne, według słów samej Niebios Królowej, już ustać miały, przeto ks. Weichsel z nieśmiałością ale zarazem i ufnością udał się za pośrednictwem dziewczynek do Najśw. P. z tą prośbą, aby Najśw. Panna raczyła się jeszcze objawić wtedy, gdy figura Niepokalanego Poczęcia nadejdzie i aby takową własną pobłogosławiła ręką. Matka Najśw. najmilej przyjęła tę prośbę, i jak niezadługo zobaczymy, obietnicy danej dotrzymała w istocie. Nadto tegoż samego dnia (8 września) Wieczorkówna i Bylitewska miały widzenie, że objawienia cudowne jeszcze nie ustaną zupełnie, ale się powtórzą w następujące trzy uroczystości w roku następnym mianowicie: 1) w uroczystość Najśw. Panny Anielskiej czyli Portiunkuli (2go sierpnia); 2) w uroczystość Wniebowzięcia (15 sierpnia) i 3) w uroczystość Narodzenia (8 września).

Już z tego względu, że objawienia cudowne w Gierzwałdzie w miesiącu wrześniu co do 1877 roku skończyć się zupełnie miały, a każdy z drzącem sercem oczekiwał, jak się zakończy to wiekopomne dla narodu naszego zdarzenie, jasną więc rzeczą, że z tego miesiąca szczegóły nasze równie będą obfite, ważne i bardzo ciekawe. Zaczniemy je więc teraz po kolei wymieniać:

Dnia 1go września 1877 r. widziała Wieczorkówna przy Najśw. Pannie dwóch aniołków.

Dnia 2 września widziała wdowa Bylitewska wyjątkowo przy Matce Najśw. 4 przecudnie pięknych aniołków. Tegoż dnia o pół do piątej wieczorem zjechał do Gierzwałdu najprzew. biskup warmiński ks. dr. Filip Krementz. Chciał on się osobiście przekonać o wszystkiem, co mu komissya od niego umyślnie do badania ustanowiona, po kilkakroć donosiła. Jakoż po chwilowym odpoczynku kazał dzieci przywołać i stawić je przed siebie i począł je badać każde z osobna i szczegółowo. Gdy nadszedł czas odmawiania różańca wieczornego, kazał ks. biskup ustawić dzieci naprzeciwko okna plebańskiego, a sam stanął w oknie i uważnie im się przez cały czas przypatrywał. Podczas objawienia się Najśw. Panny, które odbyło się w sposób zwykły, sam arcypasterz był świadkiem naocznym nagłego zachwycenia owych czterech ubłogosławionych osób. Po skończeniu różańca i zniknieniu objawienia, sam ks. biskup wybadał znowu wszystkie cztery wybrane osoby, a dopiero po nim badali je inni kapłani i wiele znakomitych osób świeckich i uczczonych, które w tymże dniu obecnymi były w Gierzwałdzie. Wreszcie przejrzał dokładnie ks. biskup sporządzony w przytomności swojej protokuł, i choć mu jako Niemcowi nie umiejącemu wcale po polsku, musiało być wielce przykro, że nie rozumiał języka, którym Matka Boża przemawiała do dzieci i w którym one przy protokule zeznania czyniły, wszakże przez tłumacza o wszystkiem objaśniony, pochwalił dawną pracę i badania proboszcza ks. Weichsla, jako też i komissyi przez siebie ustanowionej.

Na drugi dzień (dnia 3 września 1877 r.) ks. biskup wyjechał z Gierzwałdu, zupełnie zadowolony z badań przez siebie przedsięwziętych, wręcz się z tem oświadczając, że jest głęboko przekonany o szczególniejszej łaskawości Najśw. Panny, która w całem tem

cudownem objawieniu się w Gierzwałdzie widocznie opiekę swoją nad ludem polskim pokazuje. Spodziewano się jeszcze ks. arcypasterza powtórnie w Gierzwałdzie: mianowicie w uroczystość Narodzenia Najśw. Panny, celem poświęcenia statuy Niepokalanego Poczęcia, ale z jakiego powodu nie przybył, nie wiadomo. Może być,że przyczyną tego była ta okoliczność, iż figura zamówiona na ten dzień nie była jeszcze nadeszła do Gierzwałdu.

Dnia 5 i 6 września (we środę i czwartek) podajemy nawiasowo, był w Gierzwałdzie lekarz dr. Dietrich z Dobrego Miasta, który rozmaitymi sposobami doświadczał owe cztery uprzywilejowane osoby podczas ich widzenia i zachwytu, ale nie zdołał znaleść w nich ani cienia jakiego fałszu lub udawania. Owszem przeciwnie publicznie przyznał, że całe objawienie w Gierzwrłdzie jest ,,rzeczą niezwykłą i bardzo nadzwyczajną.''

Po wymienieniu dotychchczasowych szczegółów przyszliśmy z opowiadaniem naszem aż po dzień 8-go września 1887 r., który, powiedzieć to nam należy, był najważniejszym dniem w całem tem cudownem zdarzeniu. Na ten dzień upragniony gotowała się cała parafia gierzwałdzka, cała Warmia, a z nią i tysiące pielgrzymów, gdyż. jak powszechnie prawie mniemano, miał to być dzień ostatni cudownych objawień N. Panny. Zanim jednak opowiemy historyą dnia 8 go września 1877 r., przypatrzmy się wprzód, co to działo się w Gierzwałdzie we wilią tegoż dnia (to jest dnia 7 września 1887 r.).

Najprzód powiemy ogólnie, że w ostatni dzień przed uroczystością Narodzenia Najśw. Panny bywała w Gierzwałdzie codziennie wielka ilość ludzi najrozmaitszych stanów i obojga płci: od najprostszego wieśniaka do najoświeceńszego magnata. Również i duchowieństwo licznie podróżowało w tym czasie do Gierzwałdu. Lud polski ze wszystkich stron był tu zgromadzony: od morza Bałtyckiego aż pod Tatry,od Warszawy i granic Litwy aż pod Szczecin. Widziałeś tu poczciwych Kaszubów. Kujawiaków, Pałuczan, Poznańczyków i w ogóle Wielkopolan, Górnoszlązaków, Galicyanów, Mazowszan i Kurpiów. I gdybyś był uważnem okiem rzucił zwłaszcza na tych braci naszych, co się pokryjomu przedarli z pod zaboru moskiewskiego; gdybyś popatrzył był z jaką oni pokorą, pobożnością i ufnością ku Matce Bożej na to szczęśliwe miejsce dążyli, nic nie zważając na trudności najrozmaitsze, nie ogody i niewygody w podróży, często o głodzie, chłodzie i pragnieniu; gdybyś był mógł policzyć te pobożne matki. co niemowlęta swoje przy piersi na rękach swych po kilkanaście mil dźwigały,aby tylko dostać się na miejsce objawień Najśw. Matki Bożej i tu upaść krzyżem na ziemię i uprosić pocieszenie u Tej Matki Miłosierdzia dla siebie, swoich i nas wszystkich — o zaprawdę widząc to wszystko nie jedna łza od rozrzewnienia spłynąćby ci była musiała.

Oprócz Polaków zgromadziło się tutaj także w tym dniu wielu Niemców katolików, tak z samej Warmii jak i Brandenburgii, Szląska i skądinąd.

Wszyscy wystawili się chętnie na trudy i niewygody podróży, na zimno, na niespanie i niewczasy. Bogaci nawet i uczeni panowie, chociaż w domu opływają w największe wygody i żywią się najwyszukańszemi potrawami i napojami, poddali się tu ochotnie, z zaparciem siebie, tym wszystkim trudnościom i niewygodom, jakie ich wtenczas co chwila w Gierzwałdzie spotykały.

Wszyscy prawie znosić musieli szyderstwa,urągania, pośmiewiska, wyrazy szorstkie i nieprzyzwoite, a nawet przekleństwa od wielu niewiernych i złych ludzi. Zwłaszcza wiele znieść trzeba było na kolejach, gdzie dużo znalazło się przewrotnych, którzy pielgrzymów spieszących na dzień 8 września do Gierzwałdu publicznie znieważali, podając w pogardę wiarę naszą św., jej obrządki, a nawet lekceważąc sobie samego Boga i Jego Najśw. Matkę.

Wszystko to znieśli pielgrzymi gierzwałdzcy z pokorą, byle tylko dostać się tamże na dzień 8go września. Niczego nie pragnęli więcej, byle stanąć na tem świętem miejscu, choćby jedną nogą, byle upaść na kolana na tej górze pod kościołem, na cmentarzu, pod tym klonem objawienia, aby spojrzeć na to drzewo, aby go się (gdyby można) choć ręką dotknąć. Żywo pragnęli oni przynieść z sobą do domu na pamiątkę dnia tego choćby jaką najmniejszą drobnostkę z Gierzwałdu, i zobaczyć te cztery wybrane osoby, do nich przemówić i choć jedno słówko odpowiedzi od nich usłyszeć. A nadewszystko pragnęli oni u stóp Najśw. Panny pomodlić się pobożnie na różańcu i Jej błogosławieństwo dla siebie i swoich otrzymać.

To żywe pragnienie mając ciągle przed oczami, nie mogli oni zważać na żadne niewygody, bo spodziewali się nazajutrz obfitej za to zapłaty. To też wśród przeszło 50.000ego ludu, który w tym dniu zgromadził się w Gierzwałdzie, nie znalazłeś ani jednego, któryby uskarżał się na jakie niewygody. Owszem wszyscy z bijącem sercem, to na modlitwie, to na śpiewaniu nabożnych pieśni lub pobożnem rozmyślaniu, wyczekiwali dnia następnego. Byli też i tacy, co zbierali najśl czniejsze kwiaty i wili z nich zielone wieńce; inni przyrządzali lampiony na przystrojenie klonu i kapliczki, którą na życzenie Najśw. Panny parafianie gierzwałdzcy wystawili.

Gdybyś rzucił był wtenczas okiem z góry cmentarnej na lud zgromadzony, zdawałoby ci się, żeś na morzu, że masz przed sobą bałwany niezmierne kołysane wiatrem. Gdy nadszedł wieczór, wiele zapalono świateł, a wtenczas widok miał być niezwykle piękny.

Poczciwi parafianie gierzwałdzcy prawdziwie po staropolsku przyjmowali pielgrzymów. Na chlubę ich powiedzieć trzeba, że ostatni kawałek chleba, ostatni kącik pomieszkania, ostatni snopek słomy chętnie dawali przybyłym. A czynili to wszystko ochotnie, nie żądając żadnej zapłaty, aby ich nikt nie posądził o to, że z cudownych objawień Niebios Królowej chcieli jeszcze inne, prócz duchownych, odnieść korzyści. To co mówimy o parafianach, to samo i o domu ks. Weichsla powiedzieć trzeba. Dla wszystkich był on wylany, drzwi domu jego stały dla wszystkich otworem; każdego, który się zgłosił, przyjmował i gościł, chociaż sam ostatniego pozbywać się musiał nie raz kącika. Siostra, która mu domowe prowadziła gospodarstwo, podobnym była przejęta duchem.

W ten sposób, upłynął w Gierzwałdzie dzień 7go września 1877 r. Na tem kończymy opowiadania nasze o objawieniu w Gierzwałdzie. Kiedyś, da Bóg, dokończymy.

WIEŚCI ZE ŚWIATA

Głos Kaszuby. Śmiałe i świadome oświadczenie się chłopa polskiego, a w dodatku z nazwiskiem z niemiecka brzmiącem, napotykamy w liście do „Gazety Gdańskiej“, które zasługuje na powtórzenie:

„W nr. 18 „Gazety Gdańskiej“ doczytałem się o grudziądzkim „Geseligerze“, jak to piśmidło się o naszym starym Franku z Więcków wyraża za to, iż na wiecu w Kościerzynie zapytał się: Czy my chłopi kaszubsko-polscy jesteśmy Polakami, czy Niemcami. „Geseliger“ uznaje zapewne to, kiedy pisze, „że zadanie to jest nadzwyczaj pouczające.“

Mój kochany redaktorze! Jako chłop polski chcę temu pismu też odpowiedzieć, że nie sam stary Franek i Kościerzyniacy tylko, ale my wszyscy kaszubsko-polscy chłopi tak samo głośno oświadczamy, że jesteśmy Polakami! — „Gess.“ naturalnie gotów powiedzieć, że to szlachta lub księża namówili starego Franka do podobnego zapytania się, że tylko szlachta i księża są niezadowoleni i podburzają, a my chłopi jesteśmy kontenci z wszystkiego itp.

Niech się „Geselligerowi“ coś podobnego nie marzy — bo my chłopi nie tacy w ciemię bici, jak mu się wydaje. Czy my mamy być zadowoleni z wydalenia 40 tysięcy naszych braci z kraju, z usuwania nam ziemi z pod nóg na kolonizacyą, z tego,że dzieci nasze w szkole uczą się w obcym, niezrozumiałym języku? U mnie, chłopa polskiego, jest język polski najdroższym skarbem.

Chcą w nas wmówić, że my Kaszuby jesteśmy Niemcami i nie chcemy tego wszystkiego wytykać, ale że jesteśmy zadowoleni. Jak grubo się mylą ci przekrętnicy w rodzaju „Gesselligera“, dowodzą słowa starego Franka, którym my wszyscy przywtórzyć chcemy. Ja jestem daleko od księdza i szlachcica, nikt mnie nie poucza, tak samo każdy inny z tutejszych chłopów, a jednak wszyscy tak samo, jak stary Franek, mówimy, czujemy krzywdy nam się dziejące i nigdy przenigdy zniemczyć się nie damy, bo jesteśmy Polakami prawdziwymi. Żal nam tylko naszych dzieci, które z powodu niemczenia w szkole gotowe później pójść w socyalisty. Chociaż „Gesselligerze“ cię nie lubimy, jednak jako katolicy nie życzymy tobie ani twoim zausznikom tego, aby wam tą miarą kiedyś mierzono, jak dziś nam chłopom polskim.

Jeden z chłopów kaszubsko-polskich.

Z Górnego Szląska. Zupełne usunięcie nauki języka polskiego ze szkoły ludowej, a wprowadzenie natomiast języka niemieckiego, dopełniło miary cierpliwości ludu polskiego na Górnym Szląsku. Lud pokonywał trudności porozumiewania się z urzędnikami niemal wyłącznie po niemiecku mówiącymi, począł narzekać, kiedy w sądzie tylko w niemieckim języku sprawiedliwość wymierzać mu poczęto, ale nie może znieść zanadto dlań bolesnego widoku, widoku dziecka, które po ośmioletniej nauce w szkole ludowej paple po niemiecku, jak papuga, nie rozumiejąc tego, co mówi, powtarza po niemiecku całe stronnice katechizmu, nie mając wyobrażenia o zasadniczych prawdach nauki Kościoła katolickiego i wskutek tego podstaw religijnych nie mając, zwiększa szeregi ludzi na Szląsku, poprzednio zupełnie nieznanych, ludzi niereligijnych i niemoralnych. Przez czas jakiś nie sprzeciwiali się rodzice usunięciu języka polskiego ze szkoły, sądząc, że zawsze dobrze to będzie, iż dziecko po niemiecku mówić się nauczy, bo łatwiej sobie da radę i w wojsku i w sądzie i w urzędzie, ale doświadczenie pouczyło ich, że się mylą, bo młode pokolenia wychodzą ze szkół bez dostatecznej znajomości języka niemieckiego, a z zupełną nieznajomością polskiego. Niezadowolenie z tego, z razu rzadkie, poczęło się szerzyć coraz więcej i wywołało na całym Górnym Szląsku już nie objawi tegoż niezadowolenia, ale wprost żądanie wprowadzenia napowrót języka polskiego do nauki w szkole ludowej. I dzisiaj są tam dowody ruchu ludowego bardzo poważnego, a do niedawna jeszcze nieprzewidywanego, ruchu, mającego znaczenie tem donioślejsze, że począł się nie w sztuczny sposób, nie wskutek agitacyi zgóry kierowanej, ale samodzielnie, w wioskach niemal zupełnie inteligentnych, polskich przewodników pozbawionych. W prośbach, podpisywanych przez wioski i parafie całe, prosi lud polsko-katolicki ks. biskupa wrocławskiego, Jerzego Koppa, aby ujął się za swemi owieczkami i wpływem swym wyjednał w sejmie i u rządu wprowadzenie języka polskiego do nauki w szkole ludowej. Zaledwie przed kilku tygodniami prośbę podpisywać zaczęto, a wniesiono ich dotychczas już przeszło 250, zaopatrzonysh w podpisy przeszło 70,000 włościan i robotników polskich, a na tem jeszcze nie koniec. Zaiste objaw to wspaniały, przebudzenie się naszego ludu. Wprowadzeniem języka niemieckiego do szkoły zadał ks. Bismarck dotkliwe ciosy polskiej ludności, ale wywołał natomiast to, coby się „wielko-polskim agitatorom“ może nie było udało, wywołał świadomość narodowościową polskiego ludu na Szląsku Górnym.

Również doniosłe znaczenie ma objaw drugi. Cały Górny Szląsk wybierał dotąd do parlamentu i do sejmu pruskiego, samychNiemców,nieumiejących nawet rozmówić się z polskimi wyborcami. Teraz po raz pierwszy komitet przedwyborczy, przy sposobności wyboru uzupełniającego z okręgu pszczyńsko-rybnickiego, ustanowił, że poseł musi być nietylko dobrym katolikiem, ale musi także znać język polski.

W pewnej wiosce, niedaleko od Jabłonowa, wydarzył się następujący wypadek. Żona jakiegoś mularza zachorowała na tak zwanego „kołtuna“. Chorą leczyły sąsiadki, ale wyleczyć nie mogły, choć używały najrozmaitszych ziół, lekarstw itp. Wtedy nabrały przekonania, że chora kobieta jest oczarowaną i namówiły męża, aby wypędził czarownicę z żony Małżonek usłuchał rad „mądrych“ bab i za ich wskazówką gotował przez dłuższy czas serce czarnej kury. W czasie, gdy się serce gotowało, stał z grubym kijem w ręku przy drzwiach, oczekując czarownicy, którą miało zwabić gotujące się serce kury. Nikt atoli nie przybył, usłużny małżonek mógłby stać wieki całe i pewno nadarmo by oczekiwał czarownicy. Jaki to jeszcze zabobon pomiędzy niektórymi ludźmi panuje!

W Neutrze, najstarszej stolicy biskupiej na Węgrzech zmarł 3 marca powszechnie szanowany biskup Dr. August Roskovanyi, jak już donosiliśmy o tem.

Jako pasterz swej dyecezyi zdala żył od świata, a przecież wszystkie swe siły umysłowe i fizyczne i wszystkie materyalne zasoby poświęcał on dla ulgi i prawdziwego szczęścia swych bliźnich. Ofiarność, żadnych nie mająca granic, była celem jego życia całego. Tak złożył on fundusz, wynoszący 50,000 złr. na utworzenie VII i VIII klasy gimnazjalnej w Neutrze. W roku 1876 powstał jego hojnością półmilionowy „fundusz Roskovanyi'ego“ ku wspieraniu ubogich proboszczów, wikaryuszów i nauczycieli tej dyecezyi. W roku 1878 zakłada wspaniałomyślny biskup wielką bibliotekę, liczącą 40,000 tomów, kosztem 156,000 złr. W roku 1881 wzbogaca „fundusz Roskovany'ego“ dodatkiem 200,000 złr. na spłacanie, t. zw. należytości stałej (jura stolae) w uboższych gminach swej dyecezyi, 2000 dukatów przeznacza na rozszerzanie czci ku Najśw. Pannie, a 3000 złr. na odnowienie kościoła Matki Boskiej w Neutrze. W roku 1882 ofiaruje 20,000 złr. na wystawienie barakowego obozu dla pułku Honwedów. W roku 1884 w celu ułatwienia drogi do stanu du-

chownego zakłada za 84,000 złr. seminaryum mniejsze, które własnym kosztem utrzymuje aż do śmierci. W roku 1888 buduje dom przytułku dla niezdolnych do pracy robotników, oraz dla sierót i wdów za cenę 60,000 złr. W roku ubiegłym, jako w 40 rocznicę swych rządów biskupich tworzy nowy fundusz 200,000 złr. dla niesienia pomocy biednym nauczycielom i wikaryuszom. Nadto nie było ani jednego zakładu, składki, lub miłosiernego uczynku, w czemby biskup Roskovanyi nie brał udziału. Wszystkie te fundacye i więcej niż królewskie jałmużny czynił biskup mający tylko 100,000 rocznego dochodu, a z którego jednak potrącić trzeba do 60,000 rozmaitych ciężarów. Toż dobroczynny pasterz biedniej się odziewał i gorzej się karmił, niż najuboższy z jego duchowieństwa. Życie jego było wiernym obrazem pierwotnych mnichów i pustelników.

Nie mniejszą od dobroczynności była jego pracowitość i płodność pisarska. Teologiczne jego pisma obejmują 70 poważnych tomów.

Śmierć świątobliwego biskupa nastąpiła po krótkiej chorobie. Przed zgonem przyjąwszy Sakramenta św., żegnał się z głębokiem wzruszeniem oddał ducha Temu, którego w swej pracy i poświęceniu szukał zawsze za życia.

Nawet innowiercy i ludzie bez wiary schylali przed nim czoło. Dawny minister węgierski Trefort poznawszy go, powiedział: „Teraz widziałem katolickiego biskupa.“

Przyjemny hotel. Pod tym tytułem podaje Frankfurter Ztg. następującą wiadomość z San Remo: Miasteczko nasze cieszyło się w ostatnich dniach licznym napływem cudzoziemców i pewnemu podróżnemu po długich poszukiwaniach udało się zaledwie znaleść pokoik w drugorzędnym hotelu. Około północy szmer jakiś zbudził podróżnego, ten zerwał się z łóżka i ku niemałemu zdumieniu spostrzegł dwóch mężczyzn wnoszących do pokoju trumnę. Otrząsnąwszy się z pierwszego wrażenia podróżny rzekł z uśmiechem: „Moi drodzy, pomyliliście się niewątpliwie co do numeru pokoju; nie mam najmniejszej ochoty kazać się pochować“. „Niech się pan uspokoi,“ odparł jeden z grabarzy, „myśmy nie po pana przyszli.“ To rzekłszy, otworzył wraz z towarzyszem szafę w ścianie, wydobyli zwłoki mężczyzny, włożyli je do trumny, którą wynieśli w oczach przerażonego podróżnego. Niebawem rzecz się wyjaśniła. Nieboszczyk umarł zrana, że zaś gospodarz chciał pokój niezwłocznie wynająć, przeto schował tymczasem poprostu zwłoki do szafy.

Lucinda Simoes, znakomita artystka dramatyczna w Portugalii, wstąpiła do klasztoru Sióstr Miłosierdzia.

Praga 29 marca. Miały tu miejsce rozruchy i uliczne bójki pomiędzy ludnością miejską a policyą. Prażanie pragnęli uroczyście obchodzić rocznicę urodzin swego współziomka Jana Komeniusza, który przyszedł na świat dnia 28 marca 1592 r., to jest 300 lat temu, ale policya nie pozwoliła na żadne publiczne obchody. Ludność, nie zważając na zakaz, zgromadzała się na placach i ulicach i wydawała okrzyki na cześć Komeniusza, obelgami zaś obrzucała ministra oświaty Gautcha. Z tego powodu przyszło do bójek, skutkiem których wiele osób zostało poranionych i wiele zaaresztowanych.

Guanajatta, Mex., 29 marca. Już od dłuższego czasu niektóre okolice Meksyku były nawiedzane przez bandy zbójeckie, które napadały na pociągi kolejowe i obdzierały podróżnych. Kilka dni temu strażnicy znienacka naszli szajkę zbójców, co zdzierali szyny kolei Mexican Central Road, aby tym sposobem pociągi zatrzymać. Straż użyła ognia i wszystkich wystrzelała. Wczoraj inna banda, złożona z pięciu łotrzyków pod wodzą Jean'a Fiento, w biały dzień udała się do miasteczka Pedrito i na ulicach obdzierała przechodzących z pieniędzy i kosztowności. Jeden mieszkaniec, który stawił opór bandytom, został przez nich niebezpiecznie postrzelonym. Wkońcu banda opuściła miasto.

Donoszą z Shanghai pod dniem 27 marca o kilkakrotnych potyczkach w północnych Chinach pomiędzy wojskiem rządowem a powstańcami. Wojsko chińskie strat wielkich nie poniosło, ale powstańcy drogo opłacili bunt przeciw swej władzy, bo przeszło ośm tysięcy ich wymordowano, z których 500 żywcem spalono. Dowódzca powstańców, Li Hung Tsa, został ściętym.

Największym psem na świecie jest „Lord Butd“ w Nowym Yorku rasy psów z góry św. Bernarda. Wysokości ma 1 metr, a waży 247 funtów. Na 26 wystawach otrzymał pierwszą nagrodę. Nazywają go „słoniem psiego rodu.“ Niedawno pewien bogaty Amerykanin kupił go za $19,000.

Nowy biskup dyecezyi Green Bay. W niedzielę dnia 27 marca w kościele katedralnym w Newark odbył się uroczysty akt konsekracyi ks. Sebastiana Gebharda Messmer na biskupa dyecezyi Green Bay.

Ks. Messmer przybył do Ameryki przed laty dwudziestu i przez lat piętnaście zajmował miejsce profesora teologii dogmatycznej w Seton Hall College; w roku 1885 został zamianowany proboszczem kościoła św. Piotra w Newark, skąd powołano go na profesora do Uniwersytetu Katolickiego we Washingtonie. Ks. biskup Messmer obejmie dyecezyę dnia 8 kwietnia.

Ks. Edward McCabe, wydawca dziennika Catholic Youth, zmarł na parowcu w czasie podróży do Jacksonville we Florydzie, dokąd się udawał dla polepszenia zdrowia.

Ks. Brennan, biskup dyecezyi Dallas w Texas, polecił swemu duchowieństwu odprawić w każdej parafii uroczyste nabożeństwo dnia 12 Października r. b. jako w 400 letnią rocznicę odkrycia Ameryki.

W Jersey City zmarł policyant Piotr Reem, członek loży Knights of Pythias i Iron Hall. Ks. Kassady, proboszcz Kościoła Katolickiego, dowiedziawszy się, iż Reem należał do tajnych towarzystw, odmówił nieboszczykowi kościelnego pogrzebu i nie pozwolił pochować go na cmentarzu katolickim.

Podziękowanie.

Niniejszem składam podziękowanie publiczne Zarządowi i Sz. Sz. Członkom Związku Narodowego Polskiego za hojnie udzielone Seminaryum naszemu wsparcie w sumie $771,50 (siedmset siedmdziesiąt jeden dol. i pięćdziesiąt cent.) które mi Pan Cenzor Wł. Przybyszewski Imieniem tej Instytucyi nadesłać chętnie raczył.

Jako Rektor, dziękując Imieniem Zakładu Publicznego, którego ciężar w opuszczeniu, niestety, i niepamięci obojętnych słabe siły przygniata, wyrazić muszę i wdzięczność, tem bardziej, że zasiłek przybywa w chwili wielkiej potrzeby: znaczna część młodzieży odbiera wykształcenie w Detroickiem Seminaryum Polskiem bezpłatnie — część z możliwemi ulgami, co z każdym dniem wystawia Zakład na trudniejsze z wydatkami walki.

Związek Narodowy Polski, udzielając wsparcia Zakładowi Naukowemu Polskiemu, oprócz szlachetnego czynu okazał dowodnie, że we wspólnej dla Ojczyzny pracy przykłada i swoją cegiełkę do gmachu narodowej — a nawet i religijnej skarbnicy.

Bóg Wam zapłać, Panowie!

Ks. Józef Dąbrowski,
Rektor Seminaryum Pol.

Detroit, 28 Marca 1892 r.

KARTKI DLA NAUKI.

Para wodna i opady atmosferyczne.

Gdy nalejemy do szklanki nieco wody i zostawimy ją przez dłuższy czas odkrytą, ujrzymy w końcu, że woda zupełnie znikła. Gdzież się podziała? Przez cały czas odrywały się od powierzchni drobne cząstki wody, unosiły się w górę i rozchodziły na wszystkie strony w powietrze; nie widzimy ich tylko dlatego, że są nadzwyczaj małe. Powiadamy wtenczas, że woda zamieniła się w parę, czyli ulotniła.

Podobnie jak ze szklanki, unoszą się także ze źródeł, rzek i mórz nieustannie cząstki wody w powietrze. Z mórz i rzek ubywa przez ulatnianie się tyle wody, że gdyby deszcze nie powracały ubytku, powierzchnia ich zniżyłaby się corocznie o trzy metry, aż nareszcie wyschłyby zupełnie.

Im mniej jest pary wodnej w powietrzu, które unosi się nad wodami, tem prędzej będzie się nowa para tworzyła. Gdy nad wodą wieje wiatr, usuwa się powietrze wilgotne, a na jego miejsce przybywa suche, w którem łatwiej może się więcej pary pomieścić, to też woda szybko się ulatnia, gdy nad nią jest przeciąg.

Gospodyni, która wiesza bieliznę, otwiera okienka na strychu, bo wie, że gdzie są silne przeciągi, tam wilgoć bardzo szybko się ulatnia. Podłoga umyta wysycha bardzo powoli, jeżeli drzwi i okna pozamykamy; szybko zaś, gdy świeże, suche powietrze ma przystęp.

Nietylko jednak na przeciągach ulatnia się woda szybko. Szmata zmoczona wysycha w bardzo krótkim czasie, gdy ją wywiesimy na słońcu lub zbliżymy do ciepłego pieca. Na miejscach, gdzie padają ciepłe promienie słońca, znika rosa rano o wiele wcześniej, niż w dolinach lub w lesie, dokąd jeszcze promienie jego nie doszły.

Z wrzącej wody unosi się jakby szary dymek i niknie w powietrzu. Przypatrzywszy się z bliska, poznajemy, że są to drobne kuleczki wody, które zwykle parą nazywamy. Nie jest to para, ale mgła. Tuż nad powierzchnią wody nie ma wcale mgły, lecz tylko bardzo małe, niewidzialne cząstki pary; dopiero gdy te cząstki podniosą się wyżej, gdzie jest nieco chłodniej, skupiają się w kuleczki, które możemy już widzieć. Gdy mgła rozejdzie się po suchem powietrzu izby, rozpada się znowu w drobniutkie cząsteczki i staje się niewidzialną parą.

Im cieplejsze jest powietrze, tem więcej pary może się w niem pomieścić; skoro się oziębi, wnet część jej przemienia się w mgłę i jako rosa osiada na przedmiotach. Widzimy to w zimie, ile razy drzwi otworzymy do izby. Zimne powietrze wciska się dołem do izby, ochładza parę i dlatego powstaje przy drzwiach w tej samej chwili gęsty kłąb mgły.

Przekonywamy się stąd, że powietrze może przy pewnej ciepłocie tylko pewną stałą ilość pary wodnej zawierać; im silniej się oziębi, tem więcej pary musi się w mgłę przemienić i skroplić.

Para, która z mórz i rzek unosi się w górę, przybywa w warstwy coraz zimniejszego powietrza; dlatego często zamienia się tam w mgłę, którą my, patrząc z dołu, nazywamy chmurą. W okolicach górzystych można nieraz zauważyć, że wierzchołki gór otoczone są chmurami, a czasem nawet wystają ponad chmury. Z dołu wyobrażamy sobie, że Bóg wie, co zobaczymy gdy dojdziemy do szczytu i zblizka przypatrzymy się takiej chmurze. Wyszedłszy jednak na górę, wokoło siebie, nad sobą i pod sobą nie widzimy nic innego, tylko mgłę, którą już tyle razy widzieliśmy w chłodne poranki i wieczory na dolinach.

Lecz czemuż te kuleczki mgły nie spadną, lecz unoszą się jako chmury wysoko nad naszymi głowami, niby przymocowane do sklepienia niebieskiego? Wszak najlżejsze piórko, pyłek, który za lada wietrzykiem podlatuje w górę, upada wkońcu na ziemię!

Widzieliście nieraz, jak bańka mydlana, zaledwie oderwie się od słomki, przez którą dmuchamy, podejdzie nagle aż pod powałę i dłuższy czas tam się zatrzymuje. Każda cząstka mgły jest taką bańką; wewnątrz próżną; z powietrza, które tuż nad powierzchnią ziemi jest gęściejsze, podchodzi do rzadszych warstw w których już wyżej się nie wzniesie, ale i na dół nie spadnie.

Często w pogodny, ciepły dzień letni ukazują się na niebie małe, pierzaste chmurki, tak zwane baranki; malejąc powoli znikają po kilku godzinach, chociaż nie widzimy, ażeby je wiatr gdzie uniósł. Jakimże sposobem znikły? Oto ciepłe promienie słońca ogrzały je i rozdrobniły ich cząstki, chmury zamieniły się w parę. Czasem znowu pokaże się nagle na niebie chmura, chociaż wiatry wcale jej nie przypędziły. Zimny wiatr, który podał w powietrze, napełnione parą, oziębił ją, zgęścił i zrobił widzialną, t. j. chmurą.

Dokończenie nastąpi.

DO RYCIN.

Z powodu zbliżającego się Wielkiego Tygodnia kolejno umieścimy parę rycin ze stacyj bolesnej Męki naszego Zbawiciela.

Obraz na stronie 361 wyjęty jest ze znakomitego zbioru rycin Dorego. Malarz przedstawia stroskanego Zbawiciela w Ogrojcu — a anioł Go pociesza. — Wielka to chwila, gdzie Bóg i Pan świata gotuje się na straszną mękę, a po niej na okropną i poniżającą śmierć krzyżową. Człowiecze, wszystko to Jezus przyjmuje dla ciebie z miłości, ażeby cię zbawić! Ile to trudów Boga kosztuje twoje zbawienie, gdy ty znów o siebie tak bywasz nie raz niedbałym.

Na str. 366 i 367 umieszczamy dwie ryciny t. j. kopije obrazów Nortenberga i Kramera. Zestawiamy je obok siebie, by pożegnać zimę, po której cała natura wraca do życia i stopniowo stroi się w zieleń aż do pory letniej; jak na obrazku widzimy, nawet jelenie odczuwają to w rozwiniętych lasach i rozkosznie lubują się cudami ożywionej natury.

Z KRAINY SMIECHU.

Dwaj rabusie wpadli do pewnej karczmy żydowskiej w nocy, zabili gospodarza, dzieci i służącą, a przytem zrabowali wszystko, co znaleźli w mieszkaniu; w końcu zajrzeli do pieca, a stało tam mięso przygotowane na szabas. Jeden z rabusiów wziął kawał mięsa i jadł. Towarzysz widząc to, uderzył go w twarz, mówiąc:

—Jakto, nie wiesz, że to dzisiaj piątek i że mięsa jeść się nie godzi! (Poczciwiec! zważał na post, a nie miał sobie za grzech mordować!)

W pewnem mieście galicyjskim na Mazurach żył proboszcz staruszek, bardzo lubiony przez parafian, słynny ze swoich żartów, które zawsze miały na celu poprawę bliźniego. Zdarzyło się raz, że kiedy sędziwy proboszcz zabierał sie do odmawiania modlitw z brewiarza, weszło do mieszkania jego małżeństwo wieśniaków z wioski, leżącej niedaleko miasteczka.

—Niech będzie pochwalony! zawołali oboje gospodarstwo,

—Na wieki wieków! A czegóż chcecie moi ludzie? odrzekł proboszcz.

—Gto, rzeknie baba, chyląc się ku kolanom księdza, przyszliśmy prosić Jegomości, aby zdjął i rozwiązał nas, bo żyć z sobą nie możemy.

—Tak? zawoła ksiądz, dobrze, dobrze zdejmę z was ślub. No! rzecze dalej zwracając się do baby — zdejmcie no kożuch i klęknijcie przy tym ot, stołku.

Baba posłuszna uczyniła, co kazał pleban, i ukląkłszy oczekiwała zdjęcia ślubu. Proboszcz tymczasem wziął do rąk brewiarz, a zasiadłszy na krześle, przy którem klęczała kobieta, począł odmawiać półgłosem psalm jakiś z samego początku książki. Gdy ten psalm skończył, harapem, jaki przypadkiem leżał na stole, uderzył porządnie babę po plecach. Ta, choć jej się to nie bardzo podobało, milczała, sądząc, że tego wymaga obrząd zdjęcia ślubu. Tymczasem pleban zaczął czytać psalm następny i znowu ściągnął klęczącą, ale już dwa razy;za trzecim psalmem dostało się babie aż 3 razy. Było już widać tego zanadto wieśniaczce, bo przerywając księdzu czytanie czwartego psalmu, odezwała się:

—A wiele to tego będzie, Jegomość?

—Ot, rzeknie pleban pokazując na brewiarz, muszę tak przejść całą książkę, dopiero wtedy będzie ślub zdjęty.

—Jeżeli tak, woła baba zrywając się z ziemi, to już dziękujemy za fatygę, już niech Jegomość ślubu nie zdejmuje, to ja się jakoś tam z moim pogodzę.

Po tych słowach oboje wieśniacy uchodzą czemprędzej z mieszkania księdza, który po ich wyjściu śmiał się sam do siebie do rozpuku.

J e c h a ł wieśniak wierzchem, dźwigając na plecach worek zboża. Czyż nie lepiej by było, rzekł mu ktoś, aby przewiesił worek przez konia? O nie mogę, odpowie, koniowi już i tak ciężko, bo mnie dźwiga; kto wie czy by wytrzymał, gdybym jeszcze worek nań położył.

Minister pewnego państwa nałożył nowe podatki. Lud zaczął krzyczeć i sarkać na to ogromnie. Gdy mu o tem powiadano, odrzekł: ,,Niech przynajmniej tę przyjemność mają za swoje pieniądze.

ROZMAITOŚCI.

P r z y t o m n o ś ć u m y s ł u. Pewna pani siedziała przy stole, oczekując z obiadem męża. Wtem nagle wpada jakiś nieznajomy, siada przy stole naprzeciw niej i mówi: Ja jestem sławnym lekarzem i umiem leczyć ból głowy, a że słyszałem, iż pani cierpisz bardzo na migrenę, przyszedłem ją uleczyć. Zdziwiona pani widząc w nieznajomym, człowieka niespełna rozumu, pyta go, w jaki sposób leczy on ból głowy? W najprostszy sposób—odrzekł nieproszony lekarz—odcinam głowę, wyczyszczam ją i znowu osadzam na karku. I w tej chwili wyjmuje brzytwę, zbliża się do przestraszonej pani. Ta jednak nie tracąc przytomności, powiada do obłąkanego: Dobrze panie, ale pozwól abym wzięła ręcznik i osłoniła się, by krew nie powalała mi sukni. I owszem, odrzekł lekarz. Pani weszła do drugiego pokoju i zamknęła za sobą drzwi, wzywając pomocy. Zbiegła się służba, a gdy otworzono drzwi, znaleziono owego niby lekarza, zbroczonego w własnej krwi, nieżywego.

P e w i e n m i s y o n a r z przebywając na Wschodzie, oswoił orangutana (małpę), który tak się do niego przywiązał, że nie chciał go nigdy opuścić. Jeżeli misyonarz miał spełnić jaki obowiązek religijny, był zmuszony nieodstępnego towarzysza na klucz zamykać. Raz jednakże wyrwał się z kozy i pobiegł za swoim panem do kościoła. Cichutko wylazł na organy i siedział spokojnie aż do rozpoczęcia kazania. Lecz gdy usłyszał głos pana, wychylił się na sam brzeg i wpatrując się w kaznodzieję, naśladował jego ruchy i miny tak zabawnie, że całe zgromadzenie nie mogło powstrzymać się od śmiechu. Ksiądz nie wiedząc o niczem, zgromił słuchaczy za ich lekkomyślność. Gdy małpa przedrzyźniała z wiekszemi jeszcze ruchami gwałtowność napomnienia, śmiech powstał tak głośny, że oburzony mówca zastraszył wszystkich gniewem Bożym; dopiero jeden z jego przyjaciół wskazał mu palcem powód wesołości. Ksiądz sam się roześmiał i kazał małpę wynieść z kościoła.

EXCURSYA.

Kolej żelazna Detroit Lansing i Northern i Chicago & W. Michigan R. R., będzie sprzedawać bilety ,,tam i napowrót" tylko za jedną i jedną trzecią ceny a to w następujących czasach:

Na Stanową Konwencyę Republikańską w Detroit—bilet od 13 i 14 kwietnia. Powrót 15 kwietnia.

Na obozowe ćwiczenia Armii G. A. R. w Ann Arbor—od 13, 19 i 20 kwietnia. Powrót 22 maja.

Na Stanową Konwencyę Demokratyczną w Muskegon — od 3 i 4 maja. Powrót 5 maja.